Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 30 Kwietnia. Nr. 17.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

GOŁĘBICA.

SONET.

Ludzkość, jak korab, po czarnej głębinie
Pośród ciemności, co w krąg ją okala,
Przez powódź zbrodni przeszłych wieków płynie
Patrząc, czy błękit słońca nie zapala.

Ale zawielką była przestępstw szala!
Więc może jeszcze dni wiele przepłynie
Nim wód wezbranych nie opadnie fala,
Nim nie osiędzie korab na dolinie.

Ciemność dokoła! noc otacza ziemię
Noc pełna grozy, posępna i długa,
Okrywająca świat grubą zasłoną. —

Kiedyż opadnie ciężkiej kary brzemię?
Kiedyż nadleci gołębica druga
Przynosząc w dzióbku gałązkę zieloną?

J. Klemensiewicz

W Bibljotece Narodowej.

Humoreska.

przez **L. Xanrofa.**

L. Xanrof, podobnie jak Alfons Allais, należy do grona najmłodszych humorystów francuskich. Jego właściwe nazwisko Fourneau (piec), przetłomaczone na łacinę brzmi Fornax, a wyraz ten, napisany odwrotnie, stanowi pseudonim humorysty. Xanrof napisał tekst do kilku piosnek, rozsławionych przez znanego śpiewaka francuskiego Guilberta. W ich liczbie największą popularnością cieszy się piosenka paryskiego fiakra, zaczynającego się od słów: „Un fiacre allait trottinant, cahin caha. Hu! dia! Hop! la!

Niedawno ukazał się w Paryżu tomik utworów Xanrofa p. t. „Qui m'amuse." Ze zbiorku tego zapożyczamy humoreskę p. t. „W Bibljotece Narodowej." Dla lepszego zrozumienia tego pełnego werwy szkicu, należy dodać, że w czytelni Bibljoteki Narodowej w Paryżu wymagają w zasadzie karty wstępu. Bilety wejścia dzielą się na stałe, które można otrzymać po dopełnieniu pewnych formalności legitymacyjnych i dzienne, nader łatwe do uzyskania dla każdego. Właściciel biletu musi go okazać przy wejściu. Bilety, służące tylko na dzień jeden, odbiera służący bibljoteczny przy wejściu, wręcza przybywającemu do czytelni kartkę papieru („Fiche"), którą należy wręczyć urzędnikowi, wraz z obstalunkiem na książki. Urzędnik wpisuje na „Fiche" żądane książki i zatrzymuje u siebie kartkę. Zanim czytelnik opuści salę, powinien zwrócić książki urzędnikowi, posiadającemu „Fiche." Urzędnik obok tytułów książek stempluje napis: „rendu" i wręcza ponownie „Fiche" czytelnikowi, który oddaje go przy wyjściu służącemu na dowód, że książki oddał. Obstalowywanie książek odbywa się w sposób następujący: Czytelnik wybiera sobie najpierw miejsce, następnie wpisuje tytuły książek i numer miejsca na kartce. Siedzący po prawej stronie powinien brać kartki białe, po lewej — zielone. Po wręczeniu kartki obstalunkowej urzędnikowi, należy czekać, czasami długo, gdyż sale z książkami są dość od czytelni oddalone, dopóki służący nie przyniesie żądanych dzieł.

Posłuchajmy, w jaki sposób opowiada Xanrof przygody, wynikłe z powodu owych formalności wymaganych w Bibljotece Narodowej.

Godzina druga po południu. Mały wicehrabia Guy de la Blague, siedząc w powozie, męczy się nad skreśleniem biletu, który ma posłać markizie razem z bukietem kwiatów.

„Należy pisać w formie dyskretnej... Z pełną szacunku sim... sym... sympat... Jak u licha, właściwie pisze się „sympatja?" Wprawdzie zdawałem egzamin na abiturjenta, ale to już tak dawno temu... Szkoda, że nie mam przy sobie słownika"...

Powóż przejeżdża ulicę Richelie'ugo.

„Co za roztargnienie! Wszak tu jest Bibljoteka Narodowa. Tam chyba mają słownik. Hej! stangret — do Biblioteki Narodowej!"

Stangret spogląda na wicehrabiego wesoło i porozumiewawczo mruga okiem. Spostrzegłszy, że wicehrabia mówi na serjo, zatrzymuje konie przed gmachem wskazanym.

Guy wysiada, przechodzi dziedziniec, wstępuje po kilku schodach na prawo i wchodzi do pewnego rodzaju przedpokoju. Przed nim znajdują się drzwi szklane, po za któremi widać, niby w wielkim pokoju klasowym, niezliczonych czytelników, przyciskających uszy pięściami i zagłębionych w sobie.

— Aha! to tam... — mówi Guy i biegnie ku drzwiom.

Głos z garderoby, umieszczonej w kącie przedpokoju, wstrzymuje go tonem ostrym.

— Hej panie! pańska laska...

Guy (zmięszany). Co?... Więc tu są odźwierne, jak przy łożach w teatrze?... Ależ ja wychodzę zaraz. Chcę znaleźć jeden tylko wyraz w słowniku.

Garderobiana. To wszystko jedno. Przeczytaj pan rozporządzenie... Laskę należy pozostawić.

Guy. Ha, kiedy tak.. Oto laska i dwa sous.

Garderobiana (ostrym tonem). Nie wolno nam brać pieniędzy. Przeczytaj pan rozporządzenie.

Guy. Wybacz pani... Nie uczyniłem tego w złej myśli... Teraz znów ją obraziłem! Zadziwiający zakład ta Bibljoteka Narodowa!... Nie biorą mnie za wejście i nic w kontramarkarni! Jak oni tu mogą wyjść na swoje?... No, teraz prędko do słownika!

Guy pędzi do czytelni. Woźny spiesznie zagradza mu drzwi.

Woźny. Pański bilet?

Guy. Wybacz pan, ja nie mam zamiaru składania wizyty panu dyrektorowi.

Woźny (ostro). Pański bilet wejścia?

Guy. Czego pan żądasz — biletu wejścia? Mniejsza o bilet, ja chcę znaleźć tylko jeden wyraz w słowniku.

Woźny. Przeczytaj pan rozporządzenie.

Guy. Ale gdzie?... Gdzie? Do kogo?

Woźny. Przejdziesz pan tędy na prawo cały kurytarz, później skręcisz na lewo przez galerję, później bocznem przejściem dostaniesz się na ganek, gdzie znajduje się sześć drzwi. Szóste drzwi — to administracja.

Guy (w drodze do szóstych drzwi). Administracja... Administracja... Kto to możebyć? Nie znam jej wcale... Gdybym był wiedział, że tyle historji będę robić o jeden wyraz w słowniku... Aha! wreszcie to tu... administracja!

Guy stuka i wchodzi nieśmiało. Administracja jak się okazuje, bardzo młody człowiek, siedzi przy biurku, zarzuconem papierami i pisze. Guy pozdrawia administrację, która z kolei ona odpowiada mu uprzejmie na tę grzeczność.

Guy. Wybacz pan.. Ale zdaje się, iż chcąc dostać się do bibljoteki, trzeba postarać się o bilet.

Administracja, Istotnie...

Guy. Czy mógłbym go otrzymać?

Administracja. Nic łatwiejszego nad to. Wnieś pan podanie na piśmie, dołącz świadectwo uniwersyteckie, świadectwo szczepienia ospy, notatkę i jakiej pracy w bibljotece pragniesz się pan poświęcić. My ze swej strony niezwłocznie zarządzimy ankietę i od dziś za czternaście dni...

Guy. (przerażony). Za czternaście dni! Ależ ja chcę znaleźć tylko jeden wyraz w słowniku!

Administracja. Ach! pan pragniesz tylko zajrzeć do książki... Bardzo dobrze! Zaraz panu wydam bilet, ale niestety, tylko na dzień jeden... Proszę — oto jest...

Guy rozpływa się w dziękczynieniach. Kłania się nisko administracji, która z uśmiechem na ustach odprowadza go aż do drzwi. Guy powraca do sali, zbłądziwszy tylko trzy razy w drodze, i odbywa uroczyste wejście, wyciągając dumnie rękę z biletem. Woźny odbiera bilet i tytułem odszkodowania wręcza mu kartkę białego papieru. Guy uważa to za prospekt i kładzie do kieszeni.

Guy. Chciałbym jeden tylko wyraz.. Proszę, daj mi pan słownik...

Woźny. Zwróć się pan do urzędnika, tam w głębi sali.

Guy. W głębi sali? Ślicznie!...

Guy przechodzi przez olbrzymią salę. Stąpa na palcach, nie chcąc przeszkadzać milczącym czytelnikom. Tu i owdzie ci szkaradni ludzie podnoszą głowy i spoglądają z wściekłością przez okulary, gdyż buty Guy'a skrzypią. Zarumieniony ze wzruszenia, dochodzi do końca sali i znajduje tam starego pana w czarnej czapeczce. Stary jest właśnie w zamiarze kokietowania pięćdziesięcioletniej czytelniczki, udającej małą trzpiotkę.

Guy (nieśmiało). Wybacz pan, panie bibljotekarzu, chciałbym poszukać jednego wyrazu w słowniku.

Stary pan (przerywając ze złością). Gdzie jest spis książek?

Guy. Mój?

Stary pan (wybuchając). Spis książek!

Guy. Cóż to za wynalazek?

Stary pan. Woźny przy wejściu musiał panu wręczyć spis książek.

Guy. Ach tak... Mam go... ten prospekt (szuka we wszystkich kieszeniach)... Jeżeli go gdzie nie wyrzuciłem... Ale — nie... Oto jest..

Stary pan (odprawiając Guy'a ruchem ręki). Dobrze!... Wypełnij pan miejsce pozostawione wolnem w spisie.

Guy bierze z powagą pióro i pisze na drukowanym blankiecie swe nazwisko i adres. Stary pan zaczyna na nowo kokietować starą czytelniczkę i do rozmowy wtrąca cytaty w starem narzeczu indyjskiem. Guy przerywa miłą pogadankę.

Guy. Proszę — tu jest... Teraz możebym mógł jeden wyraz w słow...

Stary pan (rzuciwszy okiem na papier). A pański numer?

Guy (zdumiony). Czego pan sobie życzy? Mego numeru? Wszak go tam wpisałem.. Numer 53.

Stary pan. Należy wpisać tu (pisze). Pięćdziesiąty drugi!

Guy. Doskonale!... Ulica Taitbout nr. 52.

Stary pan. Co takiego? Ulica Taitbout!?... Nie pytam się przecież o numer pańskiego domu, lecz o numer pańskiego miejsca.

Guy (głupkowato). Numer mego miejsca? Jakiego miejsca?

Stary pan (krzycząc). Pańskiego miejsca!... Pańskiego miejsca!.. Gdzie pan jesteś?

Guy. Sądzę, że jestem tu..

Stary pan (w uniesieniu). Gdzie pan siedzisz?

Guy. Oh!... Nigdzie!...

Stary pan. W takim razie obierz pan sobie miejsce. (Do starej czytelniczki, która uśmiecha się z politowaniem). Mój Boże! co to za udręczenie... Ci ludzie nie mają pojęcia o niczem...

Guy rozpoczyna podróż do swego miejsca. W chwili, gdy ma siadać, sąsiad robi mu uwagę, że miejsce jest zajęte. Świadczy o tem leżąca na stole książka. Guy przeprasza i idzie dalej. Taka sama scena powtarza się dziewięć razy. Wreszcie jest miejsce niezajęte. Znajduje się ono nad otworem kaloryferu. Wpisuje numer miejsca, kładzie na niem swój kapelusz, powraca do nadąsanego pana i wręcza mu zapisany papier.

Stary pan (rzucając przelotne spojrzenie na papier). A gdzież to, czego pan żądasz? Nie zapisałeś pan tomu, jakiego potrzebujesz...

Guy. Ależ ja to panu powiedziałem.. Chcę znaleźć jeden wyraz w słowniku.

Stary pan (krzycząc). W jakim słowniku?

Guy (także podnosząc głos). Zkąd ja o tem mogę wiedzieć?

Stary pan (dusząc się z gniewu). To ja powinienem wiedzieć? Co za męczarnie! Mój Boże! co za męczarnie!... Po co puszczają tu tych ludzi, którzy o niczem nie mają pojęcia!

Guy (tupając nogą). Do pioruna, gdybym o tem wiedział, wolałbym się uczyć ortografji... To byłoby krótsze! Chcesz mi pan dać słownik? Tak — czy nie?

Stary pan. Zażądaj pan najpierw odemnie słownika!

Guy (któremu opadają ręce ze znużenia). To już za gruba awantura! Czegóż ja tu chcę od godziny?

Stary pan. Co pan tu robisz od godziny? To proste — nudzisz się.

Guy. Ach!... Bądź pan łaskaw wyrażać się grzecznie, ty stare in-folio!

Stary pan (wrzeszcząc). Zakazuję panu znieważać mnie! Wyrzucę cię za drzwi! Powiedziałem już, że masz wpisać tytuł książki, której żądasz...

Guy. (wyjąc). Słownika!... Czy pan wiesz, co to znaczy słownik?

Stary pan (dość umiarkowanie). Napisz pan jaki?

Guy. Należało tak powiedzieć odrazu.

Guy gotuje się do pisania na rejestrze książek.

Stary pan. Gdzie pan zapisuje!

Guy (prawie obłąkany). Ach!

Stary pan. Na kwicie! na kwicie! tam na stole... Co za męczarnie! co za męczarnie! Kto go tu wpuścił! — na świętego papyrusa!

Guy rzuca się z rozpaczą do stołu, na którym leżą białe i zielone kartki. Na wszystkich jednakowa ustawa: „Tytuł żądanej książki". Guy chwyta kartkę, jaka mu wpada w rękę, tym razem białego koloru, i pisze: „Słownik, wszystko jedno jaki". Niesie kartkę do starego pana, który za swem biurem poci się z oburzenia i ociera sobie czoło.

Guy. Oto jest... Mam nadzieję, że teraz...

Stary pan (karmazynowy z gniewu). To niemożliwe! Pan to robisz naumyślnie!

Guy (czerwony jak befsztyk po angielsku). Co takiego?

Stary pan (machając kartką). Siedzisz pan po prawej stronie, a piszesz na białej kartce?

Guy (oszołomiony). I cóż ztąd?

Stary pan (pogardliwym tonem). Po prawej stronie są zielone kartki.

Guy. To trzeba było odrazu tak powiedzieć, ty worku z papierami!... W takim razie trzeba to przepisać.

Guy wraca do stolika, zapisuje zieloną kartkę i odnosi ją staremu panu, z mocnem postanowieniem położenia raz końca całej tej sprawie.

Stary pan (czytając). Co za stylizacja! Boże! co za stylizacja!... Idź pan teraz na swoje miejsce i siadaj spokojnie. Książkę panu tam przyniosą.

Stary pan ociera chustką spocone czoło, wręcza kartkę służącemu i pada wyczerpany na krzesło, następnie wyjmuje flakon z solami, przytyka do nosa, by się cokolwiek orzeźwić. Guy jeszcze czerwony ze złości, wraca na miejsce i siada wprost otworu kaloryfera. Po upływie pięciu minut, czuje, iż nabiera usposobienia do apopleksji. Podnosi się i spaceruje. Nieprzyjazne mruczenie sąsiadów zmusza go siąść ponownie. Z otworu, umieszczonego pod nim, płynie gorące powietrze, które przenika całą jego osobę. Czeka tak, coraz bardziej się czerwieniąc, podniecony moralnie i fizycznie. Nagle bije godzina.

Guy (zdumiony). Nie, to niemożliwe! Wpół do czwartej...Jestem więc tu dwie godziny... Oh, nie! Idę sobie...

Wychodzi. We drzwiach zatrzymuje go woźny.

Woźny. Przepraszam. Dokąd pan idzie?

Guy. Wychodzę. Już mi się uprzykrzyła ta buda!

Woźny (ostro). Gdzie pański spis książek?...

Guy. Spis? Odebrano mi tam w sali...

Woźny. Każ go pan sobie wrócić, inaczej pana nie wypuszczę.

Guy. Co? Nie mogę wyjść?... (Siny z gniewu). Do djabła macie mnie za złodzieja?

Woźny (obojętnie). Przeczytaj pan rozporządzenie..

Guy (powracając na dawne miejsce). A teraz nie mogę ztąd wyjść. Śliczny miałem pomysł, żeby tu przyjść, zamiast sobie kupić słownik!

Guy siada. Po upływie kwandransa przynoszą mu w końcu gruby tom. Chwyta go pożądliwie i czyta tytuł: „Słownik pomocniczych umiejętności rzemieślniczych". Tom pierwszy od A do F.

Guy (z wściekłością). Nie! w ten sposób nie wolno z człowieka robić głupca! Trzymają mnie tu pół dnia, w końcu dają słownik w którym nie ma wyrazu tego, jakiego szukam!

Chór czytelników (ze wszystkich stron). Spokojnie! Silentium! Pst! Wyrzucić go!

Guy (nie posiadając się w gniewie). Banda idjotów! Tak! banda idjotów!

Woźny. Jeżeli pan nie będzie zachowywał się spokojnie...

Guy (tracąc resztę cierpliwości). Macie wasz słownik!

Rzuca słownik na głowę woźnego, który schyla się, traci równowagę, przewraca kilka kałamarzów i pada na stół, w środek uczonego kolegium, złożonego z czytelników. Zamieszanie, protesty, walka z woźnym. Kończy się to wszystko wyrzuceniem Guy'a, którego powierzają dwom policjantom.

Guy. Ja to panom wyjaśnię... Chciałem znaleźć jeden wyraz w słowniku... Nie jestem bynajmniej złodziejem.. Oto mój powóz.

Pierwszy policjant. Co nas obchodzi pański powóz?... Ha, ha! To byłoby ładne, gdybyśmy każdego złodzieja chcieli pytać czy ma powóz?

Drugi policjant. I czego spokojny oby-

watel może tak nagle potrzebować od słownika? Pan jesteś z pewnością anarchistą... A więc—do cyrkułu!

KARTAGINA

w świetle najnowszych poszukiwań archeologicznych.

Sława bardzo nierównomiernie i bardzo niesprawiedliwie bywa rozdzielaną między ludzi zasługi. O wybitnym uczonym wie najczęściej małe tylko grono osób, o artyście, który choć trochę po nad poziom przeciętnej mierności się wychyli, wiedzą wszyscy. Instytut francuski składa się z pięciu oddziałów, zupełnie sobie równych, a jednak jeden z nich, zwany akademją francuską daje rozgłos swojemu „nieśmiertelnemu" na cały świat, inne ledwie sławę i uznanie w „odpowiednich kołach". I w samej akademji znajdziemy przykłady, ilustrujące to zamiłowanie losu do paradoksu. Kto wie z publiczności przeciętnej o Graerdzie a komu obcym jest Halevy? A czyż gwiazda zasług na polu historji księcia Broglie i Thureau-Dangin'a nie gaśnie zupełnie wobec kolorowych świateł, jakiemi rzuca na wiat Loti?

Do tych pokrzywdzonych należy Gaston Boissier. Jest on członkiem akademji napisów co nie jest tytułem do szerokiej sławy, jes także i jednym z czterdziestu nieśmiertelnych, o czem u nas mało kto wie. Pewien mój znajomy, człowiek bardzo oczytany, przeglądając buletyny głosowania ostatniego w akademji, irytował się, że tak wiele w niej ludzi, którzy się niczem nie odznaczali, o których nic nie wiadomo. I jako pierwszy argument na poparcie swojej prtensji zawołał: „ot taki Boissier naprzykład, kto to jest? co on zrobił! kto o nim wie?"

A jednak niewielu śród nieśmiertelnych więcej posiada tytułów do zaszczytów od Gastona Boissiera. U nas to nazwisko jest zupełnie obcem. Żadne z jego dzieł nie było tłumaczonem na język polski. Brak ten, jak słyszałem ma zamiar wypełnić kasa Mianowskiego, która zamierza wydać „Koniec pogaństwa" w tłómaczeniu profesora Kazimierza Kaszewskiego. Jest to kapitalne dzieło Boissiera, godne stanąć obok „Apostołów" „Świętego Pawła" i „Marka Aureljusza" Renana. Boissier jest filologiem. Są to dwie specjalności, które przeciętnemu człowiekowi wydają się dosyć suche. Ile jednak w wykład o kilku wierszach, ułamkach — które po tragedji rzymskiej pozostały — wlać można życia, subtelności i kolorów, jak można zająć i pociągnąć słuchaczów, jak ich rozpalić można do tych ruin — dowodzą tego wykłady Boissera w College de France. Wykłady te uczony wiąże i wydaje w książkach i tą drogą powstały studya o Wergiljuszu i Horacym, a powstają o komedji i tragedji rzymskiej. Dzieła te mają ten rys charakterystyczny — że od nich oderwać się trudno. A nie mówię tu o specjalistach tylko, ale o najzwyklejszym czytelniku, nawet takim, któremu szkoła realna oszczędziła w młodości goryczy, wynikających z wynalezienia „ablativus absolutus". W Boissiorze obok uczonego jest artysta i ten właśnie jest przewodnikiem czytelnika po świecie starożytnym.

Artysta ten występuje tem silniej, ile razy Boissier zechce być archeologiem. Powstają wtedy „Promenades archeologiques" po Rzymie Pompei i Ostii, które są dla uczonego umiejętnem zestawieniem najnowszych odkryć, dla czytelnika barwną i pociągającą lekturą, a dla podróżnika przewybornym przewodnikiem po świecie ruin. Ciekawe to ze wszechmiar te „przechadzki" zarówno dla tych, którzy rozkoszować się chcą dziełem samem, jak też i dla krytyka, który zastanowi się przez chwilę nad warunkami pisania dzieł takich. Pozytywne wiadomości kolekcjonisty, bystry subtelny i zarazem ścisły umysł uczonego i gorąca, twórcza wyobraźnia artysty — składają się, — każda najlepszą swoją cząstką, — na podstawie takich prac, które są zarazem dziełami nauki sztuki.

Boissier odbywa teraz nową serję „Archeologicznych wycieczek" tym razem po „Afryce rzymskiej". Odbądźmy z takim przewodnikiem jeden spacer, pójdźmy za nim „na to miejsce, gdzie była Kartagina".

* * *

Jest to jeden z najbardziej uczonych kątków ziemi, chociaż Fenicjanie najmniej z pewnością o tę piękność dbali. Pomiędzy jeziorem Tunisu i Sachara, wzdłuż morza, niedaleko od wybrzeża, ciągnie się pagórek wysoki na 65 metrów. Ziemię tę posiada Francja od lat przeszło pięćdziesięciu. Ludwik Filip wybudował tu kaplicę Świętego Ludwika. Za nią kardynał Lavigerie wzniósł potężną katedrę, która wieżycami patrzy na morze. Miejscowość ta nazywa się Byrsa i jest pustą dziś, zaledwie przez kilku mnichów zamieszkałą. Tu właśnie był Akropol kartagiński środek i s. . miasta.

Wzgórze to obsiadły dokoła dzielnice, jedne schodzące do morza i do portu, inne na ląd stały. Miasto było potężne, flotę miało dzielną i liczną, panowało nad całem morzem Śródziemnem i w żeglugach śmiałych dotknęło parę razy brzegów Bretanji.

Dziś nic z tego nie zostało — nawet ruin

Ten brak ruin jest strasznym i zarówno pognębiająco wpływa na umysł archeologa jak i myśliciela. Rzymianie, którzy obiecywali sobie zniszczyć nienawistne miasto, skoro raz je zdobędą, wykonali sumiennie swoje przyrzeczenie. Ale przecież na gruzach dawnej Kartaginy i z gruzów powstało miasto nowe, które musiało być wielkie, skoro uważano je za trzecie w rzymskiem imperium. Jak to stało się, że i z tego miasta nic nie ma? Boissier domyśla się, że gruzy te użyte zostały przez Arabów jako materjał budowlany. Jest to stary proceder, uważanie pamiątek za skład materjałów; prawie wszystkie kościoły rzymskie wybudowane z cegły zwiezionej z rozbieranego Coloseum lub Łaźni Deoklecjana. W sąsiednich Kartaginie domach arabskich pełno znaleziono ułamków, mających historyczne znaczenie i archeologiczną wartość.

(Dokończenie nastąpi.)